



**HELENA
SEKUŁA**

**FIGURKA
Z DRZEWA
TEKOWEGO**



Helena Sekuła

FIGURKA Z DRZEWA TEKOWEGO

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-09-8

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

Wieczorna mgła, gęsta jak zawiesina, szczelnie okrywa las, wysoki kolejowy nasyp i linię szyn. Z odległości kilku metrów nie widać już żółtawego odbłasku krzyży Świętego Andrzeja, sygnalizujących nie strzeżony przejazd, i wiodącej doń szutrowej drogi.

Maszynista ekspresu Paryż-Warszawa-Moskwa znużonym wzrokiem usiłuje przebić nieprzenikliwy, lepki mrok, który zda się przywarł do panoramicznych szyb lokomotywy; jeszcze tylko pięćdziesiąt kilometrów do stacji Warszawa Gdańska.

I nagle... w świetle reflektorów elektrowozu ciemny kształt na samym środku toru.

Samochód!... Dłoń odruchowo szarpie dźwignię pneumatycznego hamulca, zablokowane koła pociągu przestają się obracać, ale rozpędzone siłą sześciu tysięcy koni mechanicznych do szybkości dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę jeszcze suną po torze z wibrującym zgrzytem ścieranego metalu. I nic już nie może uratować wozu tarasującego przejazd. W oślepiającej jasności światła maszynista widzi z przeraźliwą dokładnością, jak bufory lokomotywy taranują małe pudełeczko samochodu. Auto przekręca się do góry kołami niczym dziecinna zabawka, zderzaki dosięgają go znowu, ze straszliwą siłą gniotą i masakrują blachy karoserii. Poskręcana kupa złomu przewala się przez tor, a potem koziołkuje w dół po stromym stoku nasypu.

W kabinie elektrowozu czarna tarcza manometru sygnalizuje automatyczne rozłączenie składu pociągu, maszynista uświadamia sobie, że wykoleił się ostatni wagon i jednocześnie widzi wyłaniające się z mgły reflektory lokomotywy pędzącej z przeciwka po sąsiednim torze.

Opóźniony pośpieszny do Katowic... – rejestruje przerażony i bezsilny. Nic więcej nie zdążył już pomyśleć, bo właśnie minął go w pełnym biegu elektrowóz tamtego pociągu.

Ogłuszający huk i chrzęst miażdżonego żelaza wznosi się nad torowiskami, rozdziera bębrenki w uszach.

Wreszcie zatrzymuje się paryski ekspres, wyskakuje załoga elektrowozu, gramolą się oszołomieni pasażerowie. Przerażające krzyki i jęki niosą się gdzieś z końca składu.

Ostatni wagon ekspresu – płatanina popruty blach – zwałony na bok tarasuje oba tory; wbity w niego, zgnieciony tępy pysk lokomotywy pośpiesznego, a nad nią spiętrzone, sprasowane wagony. Z rumowiska poprzez rozbite okna pełzną, przeciskają się skrwawieni, zszokowani ludzie.

Kolejarze śpieszą na ratunek, ale są bezsilni wobec tej masakry; nie sposób wydostać rannych, uwięzionych w zgruchotanych przedziałach.

Kierownik paryskiego ekspresu organizuje akcję ratunkową, rozdziela najpilniejsze zadania; konduktora śle do najbliższego posterunku dróżnika, tam jest telefon i dopiero stamtąd można zaalarmować pierwszą na szlaku stację kolejową, zawiadomić o katastrofie i wezwać pomoc.

Także bez chwili zwłoki musi wstrzymać ruch pociągów z obu kierunków. Na kilkaset metrów od miejsca katastrofy wystawia posterunki. One sygnałami, znanymi wszystkim ludziom kolei, muszą zatrzymać zbliżające się pociągi. Reszta załogi podręcznymi latarniami próbuje oświetlić teren katastrofy.

– Proszeni są mężczyźni, silni mężczyźni... – kierownik pociągu formuje spośród podróźnych brygady, która z rozbitych wagonów wyciągają i wnoszą rannych.

Lekarzy nie trzeba wzywać; zgłosili się natychmiast do dyspozycji kierownika, jest ich pięciu: francuski kardiolog, rosyjski chirurg, dermatolog ze Szczecina, pediatra i anestezjolog z Warszawy. Pomaga im jedna pielęgniarka, także z warszawskiej kliniki, kilku wojskowych, dwaj milicjanci i marynarz z okrwawioną twarzą.

Pasażerska społeczność jest zdumiewająco zdyscyplinowana i ofiarna, po chwilowej panice i dezorientacji bez nakazu zbierają środki opatrunkowe, bo apteczki, jakimi dysponują drużyny konduktorskie obu pociągów, są kroplą w morzu wobec istniejących potrzeb. Ktoś

zajmuje się dziećmi i osobami starszymi, inni przynoszą i rozkładają koce ze slipingów, aby na nich ułożyć rannych.

Maszynista ekspresu schodzi z grupką mężczyzn w dół nasypu tuż za rozjarzonymi ślepiami lokomotywy. W sprasowanej karoserii, mało przypominającej samochód, krwawy, dosłownie zgnieciony kształt; temu człowiekowi nie można już pomóc.

I wreszcie z jękiem syreny zajeżdża pierwsza karetka pogotowia, zaraz za nią pojawia się następna i następna; na drodze przy przejeździe parkuje ich cały sznur, i tych zwyczajnych, i specjalnych ambulansów przystosowanych do reanimacji.

Przybywa służba ratownicza kolei, dźwigi, brygady z palnikami do cięcia metalu; potężne reflektory oświetlają teren katastrofy. Kierownictwo akcją ratunkową przejmują władze kolejowe węzła warszawskiego, zjawia się milicja i prokurator.

Dopiero po dwóch godzinach, uwolniony wreszcie od wykolejonego wagonu, paryski ekspres rusza w swoją drogę, zabiera ze sobą także ludzi z pociągu pośpiesznego, który tej nocy nie dotrze już do Katowic.

Na Dworcu Gdańskim w Warszawie megafony zapowiadają znaczne opóźnienie ekspresu z Paryża; tłumek podróżnych na peronie szemrze i narzeka, nikt jeszcze nie wie o katastrofie.

Marcel Kwidaszewski wraca z Paryża; tancerz znany na scenach baletowych świata jako Marcel Quid – jego rodowe nazwisko przekracza możliwości lingwistyczne przeciętnego cudzoziemca – uczeń Niżyńskiego z Les Ballets Russes, czuje znużenie i przyływ obezwładniającego i budzącego wstręt do życia zniechęcenia. Zna ten niepokojący i przykry stan, który ogarnia go zwykle wtedy, gdy jest bardzo zmęczony albo nierad z siebie. W takich chwilach dotkliwie zdaje sobie sprawę, że ma już trzydzieści osiem lat i wydaje mu się, że jego sława zaczyna przygasać.

To chyba te jatki tak mnie rozstroiły – myśli o krwawych scenach wśród rumowiska żelaza, z którego wraz z innymi wydobywał i wynosił rannych; nawet tam, w tym piekle, sprawdziły się i przydały jego gibkie, wytrzymałe mięśnie.

On, epikurejczyk, kochanek fortuny i esteta, pracował na równi ze wszystkimi, a było mu trudno, bo musiał opanować wrodzoną odrazę i paraliżujący lęk, któremu ulega na widok krwi i okaleczonego ciała.

Ekspres zbliża się do Warszawy i dopiero teraz Marcel dostrzega brunatne zacieki na rudym welurze paryskiej kurtki, na gorsie miękkiej koszuli, zauważa podarte spodnie, zniszczone pantofle. Z obrzydzeniem zmienia zaplamione ubranie, wciąż prześladuje go wspomnienie ostrego zapachu krwi – samopoczucie sięga dna.

Neurastenia! Zmusza się, aby odwrócić myśli od wstrząsających wydarzeń, wspomina swe występy na francuskich scenach. Ależ tak, jest sławny, ma talent, jest w szczytowej formie. Potwierdzają to recenzje, w ogóle miał świetną prasę. A propozycja Bejarta? Dwuletni kontrakt do jego zespołu, do Baletu XX wieku. Bejart to współczesny Niżyński i Diagilew w jednej osobie. Jego zaproszenie to wysoka ranga dla tancerza.

Dlaczego nie przystałem od razu? Dlaczego zastrzegłem sobie czas do namysłu? No tak, M a ł y!

W ten sposób dochodzi do źródła swego niedobrego nastroju. Mój Boże, czy jestem potworem? Ta tragiczna katastrofa, martwi i okaleczeni ludzie, nagle osierocone dzieci, tyle nieszczęścia, a ja?... Ale przecież robiłem wszystko, co mogłem zrobić w takiej sytuacji, i nic nie pomoże tamtym, jeśli będzie odsuwał od siebie myśl o Małym... Z pewnością już nie czeka, bo gdzieżby miał czekać przez ponad dwie godziny? Na tym brudnym, odpychającym dworcu, gdzie na dobrą sprawę nie sposób otrzymać o tej porze szklanki gorącej herbaty... Może w ogóle nie przyszedł! Trzy tygodnie – dwadzieścia jeden dni, a dwadzieścia jeden dni to lata świetne dla takiego chłopca.

Może jednak należało zostawić mu pieniądze i klucze od mieszkania? Omal tego nie zrobił, ale nie zrobił, i tak chyba jest lepiej. Mały nie powinien się domyślać, jak bardzo mu na nim zależy. Przed wyjazdem rozegrał to dobrze: pożegnał go lekko, nieobowiązująco, umówił się na przyszłość, a potem posłał depeszę, kiedy wraca...

To było niezłe pomyślane, tylko nie przewidział katastrofy i ponad dwóch godzin spóźnienia... Los.

Przecież nie mógł tak od razu Małemu zaufać, bo nic o nim nie wie, tyle tylko, co mu sam powiedział: skłócony z inteligentką rodziną uciekł z domu... Ale jakież znaczenie ma rodzina? W najlepszych nierzadko hodują się wałkonie i trutnie. Gdybyż tylko trutnie! A ten niedawny proces? Bandyta i morderca z twarzą archanioła... I nigdy nie wiadomo, czy to ktoś bezinteresowny, czy pospolita dziwka...

Pociąg wtacza się na dworzec i Marcel, od dobrej chwili stojący przy drzwiach, od razu dostrzega chłopca. Ależ jest! Przyszedł, czekał te dwie nieszczęsne godziny w lepkiem zimnie listopadowej nocy. Spaceruje po pustym peronie z rękoma głęboko wbitymi w kieszenie kurtki; wysmukła sylwetka, głowa w gęstych, długich kędziorach koloru ciemnego złota.

– Cieszę się, że cię widzę, Sander – serdecznie wita go Quid.

– Martwiłem się o ciebie, Marcel – chłopiec prześlizguje się wzrokiem po bagażach tancerza. – Nic ci się nie stało? – okazuje się, że wieść o katastrofie dotarła już na Dworzec Gdański.

– Nic – Quid skinął na numerowego.

– Daj, ja poniosę bagaż.

– Zostaw, nie jesteś tragarzem – nie zgadza się Marcel.

– Taryfa czeka – okazuje się, że kiedy zapowiedziano przybycie ekspresu, Sander natychmiast zablokował taksówkę.

O wszystkim ten Mały pomyślał – Quid uświadamia sobie, że wyjeżdżając zamknął w garażu swój świetny wóz, a kluczyki zabrał ze sobą. Trochę mu teraz wstyd... A może tak objawia się starość? Nikomu nie ufa, każdego posądzano interesowność, ale sukces, sława i pieniądze działają jak magnes na różnych cwaniaków, niejednokrotnie się o tym przekonał, zbyt często był oszukiwany.

I już Konstancin; w ogrodzie zgrabny, licowany piaskowcem bungalow, ostatnia namiętność i duma tancerza. Jego własny dom.

Quida opuszcza zmęczenie i mija zły nastrój; wśród dobranych z pieczołowitą starannością pięknych sprzętów, obrazów i dywanów, w zaciszu tego lubianego miejsca powraca mu spokój i równowaga.

– To dla ciebie, chłopcze – otwiera jedną z waliz, wypełnioną po brzegi ubraniami, obuwiem, bielizną, z etykietami zagranicznych firm.

– To wszystko dla mnie?! – jąka olśniony chłopiec.

– Dla ciebie – promienieje Marcel, lecz nagle mrozi go pełen niepohamowanej chciwości błysk oczu małego, jest coś drapieżnego w nachyleniu jego ciała nad tą walizą wypchaną łachami.

– To chyba dla mnie za dużo... – wydobywa wreszcie z siebie chłopiec – ... iii... ja nie mogę tego przyjąć – nie brzmi to przekonująco.

– Przymierz – Marcel wyciąga pierwszy z brzegu ciuch.

Gdy powraca z kuchni, po wygarnięciu na ruchomy stolik zawartości lodówki, Sander stoi już przed lustrem; ogromne zwierciadło w złotej ramie odbija jego sylwetkę opiętą jasnokawowym zamszem. Obcisłe spodnie i bluza przybrane są pasmami efektownych, skórzanych frędzli.

– Meksykański szyk! – Sander okręca się w piruecie, odwraca do Quida ogłupiały ze szczęścia pyszczek. Jest coś zmysłowego w ruchu jego dłoni gładzącej miękką fakturę weluru.

– Co to jest? – Quid chwyta rękę Sandra; wokół krótko obciętych paznokci widać głęboko wrosnięte w skórę czarne obwódki.

– To... węgiel – Sarider prędko chowa dłonie.

– Jaki węgiel? – nie rozumie Quid.

– Robiłem przy wagonach, akurat były z węglem... – niechętnie wyjaśnia naburmuszony nagle chłopiec. – Normalka, trzeba przecież jeść.

Quid wstydzi się swego niedawnego braku zaufania; Sander zarabia na życie rozładowując wagony i ma skrupuły, czy przyjąć prezent. Jest dumny i wrażliwy. Nie! To nie dziwka poszukująca atrakcyjnego opiekuna.

Odzywa się dzwonek u drzwi wejściowych; Marcel zdziwiony unosi brwi. Nie zamknął furtki od ogrodu?

– Umówiłeś się z kimś? – Sander jest zawiedziony.

– Ależ skąd! – zaprzecza Quid. – O tej porze?... – Poza chłopcem nikogo nie zawiadamał o swoim powrocie, a gospodyni nigdy nie niepokoiłaby go o tej porze. – Nie ma mnie... – postanawia, ale przecież z okien widać światło. Dzwonek nadal alarmuje.

– Światło – Sander odgaduje jego myśli. – Otworzę i spławię... Dla kogo jesteś?

– Dla nikogo – Marcel rzuca się na fotel, nasłuchuje. Dywan w hallu tłumi kroki Małego, szcęk zamka – milknie dzwonek, gwałtowne trzaśnięcie drzwi, nagła cisza i –

– Mar-cel! – nienaturalny, bardziej pisk niż krzyk Sandra i głuchy łoskot.

Quid wypada do przedpokoju. Rozciągnięty na podłodze nieruchomy Sander, w tle dwóch drabów. Maski z przejrzystej pończochy rozmazują rysy twarzy, w otworach szparki oczu wbite w tancerza. Facet w brązowej masce robi pół kroku do przodu, łapa uzbrojona w pistolet obciążona jest czarną bawełnianą rękawiczką, w słabym świetle ampli obaj wyglądają niesamowicie.

Quid zamiera na mgnienie potrzebne do ogarnięcia tego wzrokiem i... sprężyste, pochylone ciało tancerza z miejsca, bez rozbiegu odbija się od ziemi, w locie rozgina się gwałtownie, wyrzutem nogi wytrąca pistolet zaskoczonemu tak niezwykłym atakiem bandycie. Teraz obu dzieli od niego krok, ale Marcel jest szybszy. Błyskawiczny ruch i tancerz chwyta broń, w tym samym momencie pada strzał.

Człowiek w czarnej rękawiczce z jękiem osuwa się na ziemię; Quid stoi z wycelowanym pistoletem, przed nim drugi bandyta z rękoma potulnie uniesionymi nad głową, a na jasnej kurtce leżącego wykwita powiększająca się szkarłatna plama.

Zdrętwiały Quid z trudem rozwiera wargi, robi niecierpliwy, lecz wymowny ruch ręką.

– Zabieraj go i... wynoście się do diabła! – w tej chwili jego jedyną myślą jest, aby to krwawiące ciało zabrano mu przed oczu.

Bandyta, skulony, czujny, nie odrywając wzroku od rewolweru podbiega do kamrata i ze zdumiewającą zręcznością, nie reagując na jego jęki, dźwiga i przerzuca sobie przez ramię bezwładne ciało; przygięty pod tym ciężarem wycofuje się tyłem – przeciąg zatrzaskuje za nimi drzwi. Quid przyklęka nad leżącym bez czucia Sandrem.

Prędzej bym się nagiej śmierci spodziewał niż tego obciachu; no bo i skąd? Robota w sferach wyższych, rzecz można zniewieściałych, nakrecona jak szwajcarski zegarek, w wykonaniu prosta, i ta sympatyczna pewność, że wszystko pozostanie w rodzinie, i nawet echo nie dotrze do tak zwanych czynników oficjalnych. A tu, zamiast czystego szmalcu, gnatał utracony, kto wie, czy nie na zawsze, dwadzieścia pięć procent mojej drużyny z gry wyłączone i diabli wiedzą na jak długo. I to przez kogo, dobry Jezu, przez zwyczajnego pedała! Co to się teraz nie dzieje na świecie, czy kto kiedy słyszał, żeby pedała stawiał się jak facet ze szpary, a faceci ze szpary dawali nogę jak kije rybie, tfu!

W głowę zachodzę i nie rozumiem, jak się to mogło stać; niby wszystko było dopięte, a raptem taki szkaradny finał...

Kitaj przeciwnika zlekceważył, to fakt... No dobrze, ale przecież asekurował go Spokojny. A jednak pokpili sprawę chłopaki, asy, taka ich mać!

Czyżby Marta Arpadowa miała rację?

– Roman, nie każdy perwers jest mięczakiem... – ostrzegła mnie. – Wbij to w głowy swoim sitwesom!

Nigdy nie mogłem dociec, dlaczego nazywała chłopaków, prawda, tylko w cztery oczy ze mną, moimi sitwesami. Mówiła to specjalnym tonem, który mnie zawsze drażnił; traktowała ich jak nację podlegszego gatunku. No pewno, zarówno Kitajec, jak i Spokojny, a także Wiewiórka nie wyróżniali się szczególną inteligencją, lecz mieli szereg innych zalet, niezbędnych przy robocie... Niezdrowo, jeśli w grupie są same atamany, bo każdy chce rządzić i kompania musi się rozlecieć. A to były poczciwe chłopaki, wiedzieli, że jestem lepszy, to byli posłuszni, ufali mi ślepo i dobrze na tym wychodzili.

– Pedeki to odmienny gatunek, zupełnie inna rasa – odpowiedziałem Marcie; rzeczywiście byli dla mnie jak Eskimosi albo Pigmeje. N i e p o j ę c i ! Budzili we mnie pomieszane uczucia, Melanż litości, pogardy, lekceważenia. No, i brzydzili mnie mocno, ale wtedy sobie tak dokładnie tego wszystkiego nie uświadamiałem.

– Są wśród nich także mężczyźni! – nie ustępowała Marta; ona w ogóle ma despotyczny charakter, uparta jest i lubi, żeby jej było na wierzchu. Nieraz doprowadzała mnie do pasji, jeśli wbiła, sobie jakiś pogląd w głowę, to można go było wykorzenić tylko wraz z głową. Ale miała także swoje zalety. To była brzana z naszego klanu, kobieta naszej krwi, stworzona dla takich mężczyzn jak my. Inna rzecz, że właśnie ta kobieta zrobiła największego gnoja w moim życiu, ale wówczas, niestety, tego jeszcze nie wiedziałem.

– Szczególnie Sander, co? – roześmiałem się jej w nos.

– Sander to bardzo, zła dziewczynka, której Bozia przez roztargnienie przykleiła siurek – znała na wylot każdego, kogo doraźnie trzymaliśmy na stajni. Na bieżącą potrzebę potrafiła wyłowić najatrakcyjniejszy towar w mieście, piękne ciało i brak głupich oporów.

– Ładne zwierzątko z brakami osobowości... – charakteryzowała Sandra. Marta miała słabość do uczonych terminów i wyszukanych słów. Na przykład nigdy nie powiedziała sprośny czy nieprzyzwoity, tylko: obsceniczny!

Według jej teorii niektórzy ludzie rodzą się z takim felerem psychicznym, jak inni z zajęczą wargą czy rozszczepionym podniebieniem; ona ten mankament nazywała brakiem uczuć wyższych i właśnie tego miał być pozbawiony Sander. Nie spierałem się z nią o takie coś, co nie da się ani zmierzyć, ani zważyć, ani przerachować na pieniądze.

I teraz wyszło na jej; przekonałem się o tym dotkliwie, a Kitajec nie tyle na własnej skórze, co na własnym brzuchu odczuł, że ten balerines to kawał zbója.

Czarna żółć mnie zalewa, jak o tym pomyślę, a ręka paskudnie świerzbi, aby się osobiście do tego perwersa zabrać. Gdyby on wiedział, komu takiego gnoja zrobił, toby dzień i noc Pana Boga na kolanach błagał, żeby się Kitajec wylizał. Pościłby i gorzały nie tykał, a i wszystkich świństw z chłopaczkami zaprzestał na intencję bandziocha Kitajca.

Gdy byłem młody i dumny, kiedy kochałem swoją sławę mołojca bardziej niż zdrowy rozsądek i gotów byłem na każdy numer, byle tylko zaimponować kumplom, przyłgnęło do mnie przezwisko: Łupacz! To mówiło samo za siebie. I chociaż od tamtych czasów zmądrzałem i zastarałem się, aby sława w niepamięć poszła, to jeszcze jednak krew mi w żyłach płynie, a nie rybi szlam, i stać mnie na bezinteresowne ryzyko, szczególnie gdy w grę wchodzi krzywda mojej gwardii.

Z natury jestem ostrożny i nic nie robię na chybcika, ale nie wystarczy rozważyć wszystkie za i przeciw, czy interes wart zachodu, czy nie; czytałem gdzieś, że delfiny mają takiego czuja, co pozwala im bezbłędnie orientować się w położeniu pływających przedmiotów czy inszych żyjątek. Tę ich zdumiewającą właściwość uczeni nazwali sonarem. Otóż ja mam taki sonar! Te moje poczciwe prymitywy powiadają, że mam nosa, co na jedno

wychodzi. Ale w tym wypadku mój sonar wysiadł, bo nawet wtedy, gdy poszedł hyr po dworcu, że zrobił się straszny karambol i paryski sznelcug spóźni się nie wiedzieć jak długo, spokojnie siedziałem za kółkiem.

– Czekamy, Romuś? – wywabił mnie z postoju Kitajec.

– Jakbym zmienił zdanie, tobym cię zawiadomił! – podkreśliłem go też zdrowo za to niepotrzebne szwendanie się. On już wtedy czuł się za pewnie, skoro wbrew regule na pogawarki mnie wywołał. Więc opieprzyłem Kitajca, ale raczej dla zasady niż w przewidywaniu kłopotów, bo pomyślałem: znacznie lepiej się składa. A nuż jeszcze ktoś wybrał się na witanie balerinesa, to na takim ziąbie nie wytrzyma i w nieskończoność nie będzie na dworcu pikietował.

Nawet wtedy, gdy czekałem na moich już w Konstancinie i minął czas przewidziany na załatwienie sprawy, to mój sonar także się nie odezwał; tymczasem, na wszelki wypadek, tylko rejestrację na wozie zmieniłem i pomyślałem, że widocznie znaleźli coś nie planowanego a atrakcyjnego i stąd ta zwłoka. Istotnie znaleźli!

Kilka metrów ode mnie, już w młodniaku, w którym sterczałem, markując załatwienie potrzeby, z tej mgły gęstej jak naleśnikowe ciasto wylazł wprost na mnie jęczący wielbłąd; tak wyglądali. Dopiero w moment potem rozpoznałem Wiewiórkę i Spokojnego, taszczących skuczającego Kitajca.

Rany, nie było czasu na pytania! Na tylnej kanapie na kolanach go sobie ułożyli, a mnie, nie do wiary, ręce na kierownicy dygotały. Dopiero jak wyprowadziłem wóz na prostą, opanowałem się. Gdy prowadzę auto, zawsze mi to na nerwy dobrze robi.

– Łupacz, wieź mnie do szpitala, po kichach dostałem – sklamrze Kitajec, a mnie zimny pot oblewa; całkiem kiepsko musi z nim być, skoro orient stracił i o szpitalu bredzi. Przecież to za jedno: do lazaretu czy wprost do mamra na Rakowiecką jego i nas wszystkich dostawić.

– Cichaj, Kitajec, wszystko będzie dobrze... – jak do dziecka mówię, a skarż mnie Bóg, jeśli wiem, co mam z nim robić. Rozumiem, bez eskulapa chłop mi, jak amen w pacierzu, skapieje, domowa medycyna tu na nic.

Kitajec już nic nie mówi, dyszy tylko spazmatycznie, wydaje mi się, że na karku to jego rybie tchnienie czuję, i coraz paskudniej mi się w środku robi, bo wiem, że nie mogę dać mu zdechnąć bez żadnej pomocy. Muszę go ratować bez względu na ryzyko, ale jak? No właśnie! Nie poświęcę przecież Wiewiórki i Spokojnego dla Kitajca, a i mnie wolność miła, do garowania nieśpieszno. Kurczę! Takie to są rozkosze władzy i aż wyc mi się chce, bo Kitajec to mój kumpel najlepszy, ostatni ze starej gwardii, jeszcze z młodości, z tej durnej, mołojeckiej.

– Coście tam nawarzyli? – już do Podkowy dojeżdżamy i dopiero pytam o to, od czego powinienem zacząć; ciareczki w potylicy czuję. Jak mi się nerwy huśtają, to zawsze mrowienie w tyle głowy czuję, a miały czego się huścić, bo myślałem, że tam straszną rzeźnię oni po sobie zostawili.

– My nie – mamle Spokojny, ledwie przez gardło te dwa słowa wypycha. Myślałem, że mnie krew zaleje! Żeby jeden nędzny pedek kopem Kitajcowi kopyto wytrącił? Tego jeszcze nie było! Nie tylko szmalu żadnego nie wzięli, ale do tego spluwę utracili, a na dokładkę Kitajcowi balerines brzuch podziurawił.

Wątroba mi się ze złości przekręca, nawet w pysk strzelić żadnego nie mogę, bo muszę czym prędzej wieźć ich na metę, a jeszcze główkować, jak temu gamoniowi kałdun zaklajstrować.

– Żeby jeden trzech... – dusi mnie wściekłość i charczę prawie tak jak ranny Kitajec.

– Dwóch! – prostuje Wiewiórka; bo on, zanim do drzwi po strzale podbiegł, to Spokojny już g o t o w e g o Kitajca wytaszczył.

– Skoczył jak kangur, a glony ma jak perszeron, sekundy nie trwało, a mnie już pod lufą trzymał – wybraniał się Spokojny.

– Pod sufit, jak bies kicnął... – łapiąc powietrze wychrypiał Kitajec.

Jak powiedział o tym biesie, to przypomniałem sobie gadanie Marty. Bo Arpadowa, oprócz naukowych, jest także w pretensjach intelektualno-kulturalnych. Do teatru, do opery regularnie gania, szczególnie jak wreszcie na placu Teatralnym ten sarkofag rodzinny na glanc wyporządzili. Nie powiem, sam też raz z nią poszedłem z ciekawości, zobaczyć, jak toto w środku wygląda... Ona naszego balerinesa, jeszcze wtedy taki sławny nie był, właśnie jako diabła widziała. I tak elegancko go nazwała: Mefisto...

– Kondycja jak u wyczynowca, sprężyna nie facet! – wychwalała go Marta; a ja słuchałem tych jej przemądrzałych zachwyków i nie słuchałem. Bo dla mnie coś takiego jak balerines to nie profesja, tylko charakter, a raczej jego brak. Co to za chłop, co półdupki babskimi rajstopami opnie i z uszminkowąną gębą glonami pod muzyczką fika? Żałosna ćwiercistota. I jak to się z cudzoziemską ochrzcił. Taki ledwo nogi z gnoju otrze, a czegoś się dochrapie, to zaraz mu swojskie paczesiami śmierdzi.

I dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że to ja właśnie nie potraktowałem balerinesa poważnie i stąd ta cała bieda poszła! Lecz tak bezstronnie patrząc, niewąska kanalia z tego Quida!

Rozumiem, nikt nie chce za bezdurno rozstawać się ze swymi pieniędzmi i jak potrafi, tak ich broni. Zaatakował i wygrał, to jeszcze w porządku. Nie lubię przegrywać, jednak docenię przeciwnika. Ale żeby bezbronnemu brzuchem ołowiem faszerować? Z tym się nigdy nie pogodzę.

– Łupacz, dlaczego on nas wypuścił? – Spokojny nie jest tchórzem, przeciwnie: rzekłbym, to facet rozsądnie odważny. Znaczący nie desperat, ale twardziel. Lecz gest balerinesa jest dlań zupełnie niepojęty – metafizyka! A sprawy niezrozumiałe wpędzają Spokojnego w panikę.

– Trzeba było go zapytać, a teraz zamknij dziób! – doprawdy nie mogę już tego słuchać, przez całą drogę w kółko powtarza jedno i to samo.

Wreszcie mnie się przejaśnia i zaczynam rozumieć zamysł Quida; nie będzie meldował, mógł przecież zrobić to od ręki, miał facetów pod lufą, a on im tylko kota popędził i sza.

Ale może teraz, gdy odratował to małe ścierwo i zobaczył, że nic mu się nie stało, łamie się, co dalej robić... Żeby się tylko Paż Królowej nie gibnął!

Męska decyzja. Hamuję przy pierwszym mijanym automacie; chwała Bogu, jest sprawny. Małymi kłębkami z porwanej chusteczki wypycham policzki, to zmienia głos. Może go sobie, jeżeli zechce, nagrywać do upojenia.

Balerines odzywa się natychmiast, jakby czekał na ten telefon.

– Halo, dżentelmeńska umowa! My nie zgłosimy o zabójstwie, ty nie meldujesz o najściu, gra?

– On... nie żyje? – Quid mówi to ledwo dosłyszalnie i milknie; już jestem w domu. Na pewno nikogo nie zawiadomi – oddycham. Trzepnęła go moja informacja. Pewno, niejednego by rozłożyła na amen. Bo jak to? Jeszcze przed godziną porządny facet, a tu bach!

Przedziurawił człowieka, morderca.

– Daj głos, zgoda?

– Zgoda – wykrztusił, ale rączo.

– I zwrócisz, coś zabrał. W tych dniach dam ci znać, kiedy... a miejsce: w Pyrach, „Pod Łozami”. To taki lokalik... tylko żadnych numerów, bo pożałujesz, żeś się urodził. Będziemy kwita i więcej cię nie ruszymy, uczciwe słowo! Ale jeśli oszwabisz, zdmuchniemy ci Małego – nie czekam już na odpowiedź, odwieszam słuchawkę. Uff! Lżej mi teraz na duszy, zdaje się, za jednym zamachem zabezpieczyłem sobie tyły i oskrobałem Sandra z ewentualnych podejrzeń. A teraz już tylko Kitajec! Chłopaki nie rozumieją, po co i do kogo dzwoniłem, tracąc czas w takiej podbramkowej sytuacji, ale nie mam nastroju właśnie w tej chwili przed nimi się kiskkować.

– Ty się zastanów... – znów zaczął swoje Spokojny. Obiecałem mu po ryju, jeśli piśnie jeszcze chociaż słowo, i byłbym to zrobił, ale byliśmy już w Podkowie, wjechałem na nasze podwórko i należało przenieść Kitajca możliwie szybko i zręcznie, bo chociaż posesja liczyła półtora tysiąca metrów i była dobrze zadrzewiona, to jednak istnieli sąsiedzi.

Mówię: nasze podwórko, bo połowa domu należała do Kitajca, a połowa do mnie, lecz stanowiło to własność niepodzielną, co wykładając na ludzki język znaczyło, że sprzedać tę nieruchomość można tylko przy obopólnej zgodzie. Ot, takie hipoteczne zabezpieczenie przed nieprzewidywanym.

Kitajec miał żonę, syna i córkę. Syn, gdy miał jeszcze mleko pod nosem, wyniósł się z domu i odtąd nie przyznawał się do ojca – taki wyrodek. Podobno studia nawet skończył i w stoczni jest inżynierem. Apostołem był z niego taki, że jak tylko jako tako stanął na nogi, to siostrę z domu rodzicielskiego wydłubał. Niech się w środowisku kryminogennym, tak się skunks uczenie wymądrzał, nie deprawuje. Nawet jej nic z domu nie pozwolił wziąć, że to niby z nieczystego źródła. Bałwan!

I cóż się dzieje? Gdy tylko dziewczynie włosy pod pachami urosły, wypięła się na braterskie wychowanie, w kurwy jak w dym poszła i teraz z niej najpierwsza erotessa w Trójmieście; często w jeden wieczór więcej cekinów nastuka niż ten jej niekryminogenny braciulec w miesiąc jako wielki pan inżynier. Nie udały się dzieci Kitajcowi, od rodziców niby nie brać nie chcą i znać ich nie chcą. Tak, ale po rodzicach?

Wystarczy, aby Kitajca zabrakło, to mógłbym mieć takich sąsiadów, że poły urzynać i uciekać albo interesy rzucić.

Takie to myśli hasały mi po skołatanej głowie, kiedyś już Kitajca z wozu zabierali.

– Do mnie niesiemy – zarządziłem, bo bałem się, że Kitajcowa, wyrwana ze snu takim widokiem, może się nie opanować i lament podniesie na całą Podkowę, a głos jej. Bozia dała jak jerychońską trąbę.

Gdy szczęśliwie Kitajca na moim tapczanie położyliśmy, byłem już spokojny i wiedziałem, co zrobić; ze mną zawsze tak. Jak tylko wyłoni się sytuacja niebezpieczna, a ta była wręcz rozpaczliwa, to przez moment mam tylko cykorię i żadnego pomysłu, jak z tego wybrnąć. Przeważnie wówczas przychodzą mi na myśl różne duperele, absolutnie nie związane z bieżącą potrzebą, a ja te duperele żuję jak koń obrok, nie odganiam ich, Boże broń, bo już z doświadczenia wiem, że tego mi trzeba do pokrzepienia, a równocześnie sama z siebie, jakby bez mojej wiedzy, dojrzewa we mnie właściwa decyzja.

– W barku jest spirytus – kazałem Wiewiórcę rozciąć na Kitajcu łachy, brzuch mu zdezynfekować i tylko gazę higroskopijną przyłożyć; krwawić jakby przestał, ale wcale mnie to nie cieszyło, podejrzewałem, że krew mu się do środka sączy, a to chyba jeszcze gorzej.

– Ten balerines... – znów zaskuczał Spokojny jak zepsuta płyta; musiałem strzelić go w trąbę, żeby wreszcie przestał. Co za natura parszywa, tu kumpel się kończy, a on ciągle o jednym, chociaż teraz to i tak bez znaczenia.

– Balerines nie zamelduje – wyjaśniłem pokrótce, co załatwiłem aby ich uspokoić, bo teraz trzeba było ostro i po kozacku zadziałać.

– Wierzysz pedekowi? – zamruczał Spokojny. Zmilczałem, bo nie czas było rozwodzić się, dlaczego wierzę. Złapałem książkę telefoniczną.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI